Bohdan Sobczyk

Sygnatura notacji: **N0046**
Data urodzenia: **24.08.1930 r.**
Data nagrania: **27.01.2022 r.**
Miejsce nagrania: **dom świadka, Warszawa, Polska**
Prowadząca/y rozmowę: **Artur Kłus**
Czas nagrania: **69 min**
Format nagrania: **video**
Język nagrania: **polski**

TRANSKRYPCJA

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Bohdan Sobczyk: Nazywam się Bohdan Adam Sobczyk. Urodziłem się oczywiście w roku 1930, w sierpniu, czyli w momencie wybuchu wojny miałem już 9 lat. I z tego tytułu pamiętam dosyć dobrze okres dzieciństwa. Ponieważ poszedłem do szkoły w wieku 6 lat, to przed wojną skończyłem już 3 klasy szkoły powszechnej. I to się okazało, że to było moje całe wykształcenie podstawowe, bo rozpoczęła się wojna i w czasie wojny oczywiście dalszej nauki nie było. Wspomnienia moje z dzieciństwa. Urodziłem się dosyć przypadkowo w Zagłębiu Dąbrowskim, dlatego że matka, Irena Kędziora, z domu Kędziora była rodowitą warszawianką od wielu pokoleń. Mieszkała na ulicy Chmielnej. Pamiętam jeszcze jak się chodziło, za dworcem głównym był taki wysoki, prawie 3-metrowy mur ceglany. To była ulica Chmielna. Po lewej stronie był ten mur, po prawej były budynki i tam pod numerem chyba 50 czy 50 którymś, mieszkała właśnie moja babcia i moja mama. Ojciec urodził się w Piotrkowie Trybunalskim we wsi Byki. Też miał bardzo trudne dzieciństwo, dlatego że wiadomo było, że urodził się w roku 1897 pod zaborem jeszcze rosyjskim. Potem kończył gimnazjum w Piotrkowie Trybunalskim i ukończył szkołę średnią. Wtedy rozpoczęły się właśnie walki o niepodległość Polski. Powstawała Polska, brał udział w wojnie wołyńskiej, tak zwanej wołyńskiej. Tam brał udział w artylerii. Był w artylerii.

Artur Kłus: Proszę powiedzieć, jak miał ojciec na imię?

Bohdan Sobczyk: Ojciec, Adam Sobczyk. Po skończeniu działań wojennych na Wołyniu znalazł się w Warszawie, gdzie rozpoczął studia na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Warszawskiego. Ukończył tam jeden rok, ale rzucił, bo mu to nie odpowiadało i zapisał się na Politechnikę Warszawską. Na Politechnice Warszawskiej studiował dosyć

długo, bo prawie 10 lat, bo musiał przy okazji zapracować na te studia i również uczyć się. Tak że dopiero w roku 1929 uzyskał dyplom inżyniera. Wtedy wyjechał do Zagłębia Dąbrowskiego, bo tam znalazł właśnie pracę. W tym okresie czasu w Zagłębiu Dąbrowskim rozpoczęto budowę linii tramwajowych i poszukiwano fachowców. Ojciec skończył na Politechnice Warszawskiej trakcję elektryczną. Było to jak znalazł i stąd włącznie z moją mamą, z którą zdążył się w międzyczasie już ożenić, pojechaliśmy do Zagłębia Dąbrowskiego. Stąd tam się właśnie znalazłem. Okres przedwojenny był okresem dla mnie bardzo...

Artur Kłus: Bo pan już się urodził w Sosnowcu.

Bohdan Sobczyk: Ja się już urodziłem w Sosnowcu, a rok wcześniej moja siostra się urodziła w Sosnowcu, bo miałem jeszcze o rok starszą siostrę, Kalinę. Więc najpierw przebywaliśmy w Sosnowcu do 1936 roku. Tam rozpocząłem naukę w pierwszej klasie szkoły podstawowej. Z tym, że w tym okresie czasu odbyły się tak zwane postrzyżyny, bo do ukończenia sześciu lat ja miałem takie długie włosy, tutaj prawie za uszy i jak poszedłem do szkoły, to już zostałem obcięty po męsku. To były te początki. Ale ojciec długo w Zagłębiu Dąbrowskim nie pracował, chociaż ciekawostka jest taka, że w Zagłębiu Dąbrowskim budowano linie tramwajowe, które były identyczne i z dostawami od tego samego wykonawcy, co linia EKD warszawska, która wtedy pociągi linii EKD z ulicy Nowogrodzkiej odchodziły. Tutaj z samego Śródmieścia przy dworcu głównym prawie. To były takie same angielskie tramwaje. Ale w 1937 roku ojciec został awansowany i został przeniesiony do zajezdni tramwajowej w Chorzowie, w tak zwanych Hajdukach Wielkich, w tej chwili to się nazywa Chorzów Batory. W Hajdukach Wielkich. W Hajdukach Wielkich mieszkaliśmy aż do okresu wojny, do 1939 roku. Chodziłem do szkoły w Katowicach, tam na ulicy Ligonia, do pierwszej, drugiej i trzeciej klasy. Musiałem być bardzo samodzielny, dlatego że dojeżdżałem tramwajem sam, i siostra też, dojeżdżaliśmy do tej szkoły sami z Chorzowa do Katowic. Szkoła była, zresztą wtedy wychowanie młodzieży było bardzo patriotyczne. Należeliśmy do harcerstwa, szkoła dbała o to, żebyśmy mieli jak najlepszą edukację. Zresztą była to szkoła prywatna, także wielokrotnie bywaliśmy w teatrze w Katowicach. Tak samo, jeżeli chodziło o uroczystości trzeciomajowe, bo to było największe święto wtedy Konstytucji, też braliśmy tam udział, chociaż raz nie poszedłem na tę uroczystość, dlatego że obraziłem się, zrobiłem wielką awanturę, wykrzyczałem, wypłakałem, dlatego że miałem być takim murzynkiem, bo byłem najmniejszy w klasie, który miał siedzieć w kociołku. Ja nie chciałem być murzynkiem, nie chciałem być w kociołku, stąd był taki wielki protest i taka awantura. W Sosnowcu było 70% społeczności żydowskiej, także była cała dzielnica, która praktycznie nie było tam w ogóle Polaków, tylko byli Żydzi. Zresztą to były niezwykłe kolory, to były tak ciekawe rzeczy, jak tam napisałem, że to są rzeczy, które już nie do odtworzenia, bo to nigdy nie powróci, już ta atmosfera i ten układ, jaki był wtedy, już nie powróci. Pełno było tych suteryn, w których wychodzili pejsaci, brodaci Żydzi, było wielu starozakonnych, handel odbywał się na ulicach, z beczek sprzedawano śledzie i minogi, które mi bardzo wtedy smakowały, sprzedawano chleb świętojański, kasztany jadalne, rzeczy, które później zanikały. W tym okresie czasu wyjeżdżaliśmy, ponieważ to różnie bywało, więc rodzice mieli przyjaciół. Jednym z nich to był inżynier Witwiński, Bolesław Witwiński z Warszawy, jego żona Maria Witwińska, która po wojnie prowadziła audycje dziecięce w Polskim Radio. A drugim był profesor Lucjan Nehrebecki, on był później profesorem Politechniki Gliwickiej. Przeważnie spędzaliśmy te wakacje razem. W rodzinne strony ojca, wyjechaliśmy, byliśmy tam chyba dwa czy trzy razy przed wojną, ale to nie były takie długie, to znaczy to był pewnie miesiąc czasu, miesiąc czasu spędzaliśmy z rodzinami przyjaciół mojej mamy, a w międzyczasie byliśmy tam w tych Bykach. Wieś też była zupełnie inna, nie

było światła, chleb się piekło, takie olbrzymie bochny chleba były, doskonały zresztą był ten chleb, olbrzymie bochny chleba, które musiały starczać na dwa tygodnie przynajmniej. Później w tym piecu piekło się takie podpłomyki, które mi strasznie smakowały wtedy. Więc... Moich dziadków tam w Bykach nie poznałem, dlatego że zmarli już dużo wcześniej, ale pamiętam też taki salonik w stylu francuskim, bo okazało się, że moja babcia była Francuzką. To dopiero potem odkryłem, dlatego że nie było się kogo zapytać, bo ojciec zginął przecież w czasie wojny i o tych sprawach się może tak nie rozmawiało. A zresztą człowiek zaczyna się w pewnym wieku interesować swoim życiem. Kiedyś to były tylko takie codzienne sprawy, to była praca, to było to i tamto, i wreszcie kiedy człowiek zaczyna myśleć o tym, co było, jak było, to już nie ma się kogo zapytać. I tak jak z żoną wielokrotnie rozmawiamy, mówimy o tym, że jaka szkoda, że nie byliśmy na tyle ciekawi, żeśmy się rodziców o wiele spraw nie wypytali odpowiednio wcześniej. I 1939 rok zastał nas...

Artur Kłus: Pan mówił o tej babci właśnie, że wtedy w saloniku były...

Bohdan Sobczyk: Były francuskie meble. I dopiero później zacząłem wszystkie księgi, ale tam były prowadzone tylko do 1700 któregoś roku. I tam się skończyło na tym, że moja babcia, która nosiła nazwisko Mazerant, Barbara Mazerant, doszliśmy do jej dziadka, to był Piotr Mazerant, który był... Bo tak, ojciec mojej babci brał ślub i na tym ślubie, to z zapisu właśnie ksiąg kościelnych, i na tym ślubie, przepraszam, nie ślub, urodziło się dziecko, urodził się ojciec mojej babci. I na tych urodzinach byli rodzice i stąd wiem, jakie było nazwisko i imię, i również dziadka mojej babci, jak i babci mojej babci. I potem zacząłem szukać trochę na stronach genealogicznych. Najpierw zacząłem szukać w internecie danych środowiskowych. Co to była za wieś? Okazało się, bo moja babcia pochodziła z wsi Majków, to okazało się, że to była wieś królewska. I do tej wsi królewskiej, o bogatej zresztą historii, do tej wsi królewskiej sprowadzili się imigranci, ale to byli holenderscy imigranci, niemieccy i francuscy. I nie wiedziałem zresztą, gdzie za bardzo szukać. No ale zacząłem, może szczęśliwie od strony francuskiej. Wszedłem na strony genealogiczne francuskie i piszę tam, Piotr Mazerand - nic nie wychodzi. Piszę Peter Mazerand - nic nie wychodzi. A napisałem Pierre Mazerand i wyszło mi całe drzewo genealogiczne do 1600 roku. A dlaczego nie dawniej? Bo okazało się, że jeżeli chodzi o nadawanie nazwisk, to nazwiska mieli ludzie, którzy albo byli pochodzenia szlacheckiego, albo byli związani z kościołem, albo byli związani z jakimiś urzędami. Natomiast tak zwany prosty lud pospolity nie miał nazwisk, były tylko imiona. Zresztą nawet w księgach tych kościoła w Piotrkowie znalazłem takie stwierdzenie, że była tam jakaś Sylwia z takiej a takiej miejscowości, bez nazwiska. Także nazwiska były właściwie wprowadzane w całej Europie dopiero po XVI wieku. I to drzewo genealogiczne, zresztą genealogiczne bardzo ładnie prowadzone, znalazłem aż do roku 1600. Ale tym punktem takim łączącym było to, że w kościelnych księgach miałem zapis, że zgłosił się Piotr Mazerand z małżonką Barbarą Schmidt. I był tam podany rok urodzenia, jego i jej. A tamto drzewo genealogiczne, bo tam on miał większe jeszcze rodzeństwo, ale kończyło się właśnie Piotr Mazerand i też Barbara Schmidt, i że był w Piotrkowie Trybunalskim. Czyli to się złączyło całkowicie wiarygodnie, tak że tutaj nie było żadnych wątpliwości. To tylko taka ciekawostka. W 1939 roku, ponieważ zbliżała się wojna, już było duże napięcie społeczne, to ojciec w obawie, że coś się może stać, coś się może dziać, wysłał nas na wieś właśnie do Byków i do Karolinowa, gdzie jeszcze siostra mojego ojca żyła, miała gospodarstwo. I tam nas zastała wojna w Piotrkowie Trybunalskim. To były pierwsze bombardowania Piotrkowa Trybunalskiego, który był bardzo mocno zniszczony w tych pierwszych dniach. I w tej całej panice, żeśmy się zapakowali na taki duży wóz i cała rodzina, żeśmy przebyli taką drogę od Piotrkowa

Trybunalskiego, aż tutaj za Skierniewice, aż pod Warszawę. Tak że to było takie dosyć traumatyczne przeżycie, bo to się nocami podróżowało. Oczywiście było... W dzień było... To były bardzo przykre widoki. Pierwszy raz tych ludzi zabitych widziałem po drogach, spalonych wsi. Zresztą przeżyliśmy też w takiej jednej z wsi koło Brzezin nalot niemiecki, gdzie strzelano jak do ludzi, jak do kaczek. Myśmy się schowali w takim malutkim sadzie pod drzewkami liściowymi, które właściwie nie dawały żadnej ochrony. A tam Niemcy strzelali jak do kaczek, do tych ludzi. Wiele osób tam nie wytrzymywało nerwowo. Uciekali spod tych drzew, oczywiście na polu byli od razu łatwym celem i byli tam. Jak już przeszła ta fala niemiecka, zajęli nas, to żeśmy wrócili z powrotem pod Piotrków Trybunalski do wsi. Tam żeśmy już... Ojciec po nas przyjechał i zabrał nas do Chorzowa. Oczywiście... Wracając do Hajduk, to były Hajduki Wielkie się nazywały, ta miejscowość. Wracając do Hajduk, tam było wszystko w porządku, bo Śląsk nie był zniszczony. Niemcy zajęli to praktycznie w ciągu pierwszych dwóch dni, także nie był zniszczony, tylko opowieści słyszałem właśnie o tej bohaterskiej obronie Katowic na tej wieży telewizyjnej w Katowicach. Także to była historia, którą wszyscy żyli. Długo żeśmy tam nie byli, dlatego że zostaliśmy wysiedleni ze Śląska, bo Śląsk był tylko i wyłącznie dla Niemców albo dla folksdojczów. Przenieśliśmy się z powrotem do Sosnowca i ojciec zaczął pracować tam właśnie w Zagłębiu Dąbrowskim, znowu w tej samej firmie w okresie wojennym. I okres wojenny, jak to okres wojenny. Najgorsze były pierwsze dwa lata, dlatego że w tym okresie czasu Niemcy, po pierwsze, to był okres bardzo dużego terroru, dlatego że cała inteligencja była aresztowana, faktycznie były duże polowania na ludzi, a potem się to skończyło. Potem były bardzo trudne warunki życiowe, dlatego że Niemcy mieli pewien problem, nie wiedzieli co zrobić z Zagłębiem Dąbrowskim w tych pierwszych latach po rozpoczęciu wojny. Czy włączyć to do Rzeszy, czy włączyć do guberni. I to trwało prawie dwa lata. Mieliśmy dwie granice. Jedna granica była na Brynicy, tutaj na granicy między Sosnowcem a Mysłowicami, zresztą tam gdzie jest ten trójkąt cesarzy, bo tam się zbiegały trzy zabory: austriacki, rosyjski i niemiecki. I wreszcie włączono... A druga granica była w Poraju i w Trzebini. I to były tutaj od strony guberni. No ale po dwóch latach to zostało włączone. Ale jeszcze wielokrotnie pamiętam, że przemierzałem z ojcem te granice, bo ojciec był w Armii Krajowej. A ponieważ, tak jak wspomniałem na początku, tabor komunikacyjny warszawski, EKD i w Zagłębiu Dąbrowskim był taki sam, a brakowało części, więc często jeździł tutaj na pewne uzgodnienia do Warszawy, stąd właśnie miał ten tak zwany rejserpas i mógł przekraczać granice w Poraju i przejeżdżać do Generalnej Guberni. I zawsze jakieś coś tam, wiem tylko, że w zabawkach żeśmy z siostrą zawsze przewozili jakieś tam rzeczy, nie wiem jakie to były, ale jakieś tam były kurierskie, że tak powiem, przekazy.

Artur Kłus: Jakie były nastroje wśród ludności, jak pan wspomina taką właśnie codzienność jeszcze w Sosnowcu?

Bohdan Sobczyk: No nastroje były bardzo ponure, dlatego że terror był niesamowity. Po pierwsze nie było żadnej edukacji. Chłopcy czy dziewczęta, którzy tam byli, nie mieli prawa do żadnej szkoły. Była, owszem, była podstawowa szkoła, ale na zasadzie dwóch klas, nauczyć tylko czytać, pisać i liczyć, i więcej nic. Tak że praktycznie ja tam do szkoły chodziłem przez pierwsze pół roku, zaraz po 1939 roku, to było pierwsze pół roku, później tę szkołę zlikwidowano, zresztą uczono nas tylko i wyłącznie po niemiecku, a później była taka uzupełniająca, znowu jakieś dwa czy trzy miesiące nauka, ale to się szybko skończyło. Tak że, a poza tym, no terror był widoczny bardzo, bardzo. Tak że, no ileż, napatrzyłem się przecież na taki, były publiczne wieszania, wieszania ludzi, patriotów tam i to się odbywało wszystko na skwerkach, na takich wieszano i na drzewach akacjowych.

Artur Kłus: Wspominał pan też, że z mieszkania w Sosnowcu było widać siedzibę Gestapo.

Bohdan Sobczyk: A to pierwsze, jak żeśmy mieszkali, mieszkali tam, to było widać, bo w oficynie, oficynę zajęło Gestapo, a myśmy mieszkali w tym głównym budynku. No więc patrzyłem na te codzienne apele, na to wszystko, prawda, co tam się działo. No strasznie ich bili tam pejczami, dla mnie to były duże przeżycia. A poza tym, z okien widać było rozstrzeliwania pod ratuszem, to też w 1939 roku, gdzie Niemcy rozstrzeliwali Polaków, ładowali później ciała na samochody ciężarowe i wywozili. Tak że to wspomnień takich traumatycznych bardzo dużo.

Artur Kłus: Wtedy też było widać, jeżeli chodzi o eksterminację ludności żydowskiej?

Bohdan Sobczyk: Tak, oczywiście. Po pierwsze, to zaraz zaczęły się tego typu porządki. Tramwaje składały się z wozu motorowego i dwóch przyczepek. Pierwszy ten motorowy to był dla Niemców, drugi był dla Polaków, a trzeci był dla Żydów. To była już pierwsza taka segregacja i tego się trzymano. No oczywiście Żydzi dostali wszyscy tę gwiazdę Dawida, musieli ją nosić. A potem się zaczęło już, wprowadzili wszystkich do getta na Środuli. To jeszcze pamiętam te przemarsze jak Sosnowca prowadzili właśnie tam na Środulę. Najpierw na stadion taki piłkarski, tam ich gromadzono wszystkich, a potem kierowano ich na Środulę do getta. A potem już wiadomo co to było, wywożenie byli dalej. Także pod tym względem było... I to ciągłe zagrożenie było. I wreszcie w 1944 roku, to 28 sierpnia, mój ojciec został aresztowany przez gestapo o godzinie w pół do drugiej w nocy. Nocowała u nas akurat przedstawicielka AK, Armii Krajowej, ale matka jakoś przedstawiła, powiedziała, bo się gestapo zapytała kto to jest, a to moja siostra i jakoś zostawili to, bo mogła być bardzo, bardzo duża i głęboka wpadka. Bo u nas był taki punkt kontaktowo-noclegowy, tam się przewinęło bardzo, bardzo wiele ludzi, których pamiętam do dzisiaj, mieliśmy fortepian, tam pięknie grali na fortepianie, były bardzo, bardzo sympatyczne wieczory, były spędzane z tymi ludźmi. I później ojca aresztowano, siedział najpierw w więzieniu w Będzinie, później na Ostrej Górce w Sosnowcu, no i pod koniec roku został skierowany do obozu w Mysłowicach. I tam był torturowany, był w strasznym stanie zdrowia. Jeszcze ojca widziałem ostatni raz 6 stycznia 1945 roku, to już właściwie przed zakończeniem wojny, bo tam było tak umówione, że matka uzyskała dostęp do tych Ślązaków, którzy tam byli Wachmanami w tym obozie i wyprowadzili ojca pod ramiona na brzeg rzeki, a z drugiej strony rzeki my żeśmy tam byli z matką i siostrą, żeśmy się widzieli po raz ostatni zresztą w życiu. I potem...

Artur Kłus: Czy to było tak, że tylko widzieliście, bo nie było możliwości porozmawiania?

Bohdan Sobczyk: Absolutnie nie, żadnej, żadnej. Zresztą ja tam wielokrotnie jeździłem do tych Wachmanów, tam jeden z nich mieszkał w Mysłowicach, takiej odległej dzielnicy, to ja tam wieczorami jeździłem i podawałem takie różne drobiazgi, paczki, najczęściej żywnościowe, bo innej możliwości tam nie było. Jeszcze tydzień przed zajęciem Sosnowca, jak Niemcy stamtąd uciekli, to jeszcze w nocy, to była godzina policyjna, te kilka kilometrów tam szedłem do tych Wachmanów, żeby podać tam jakieś tam rzeczy. A dzisiaj to jest taki dzień szczególny dla mnie też, bo to jest 27 stycznia, to jest właśnie ten dzień, kiedy Sosnowiec był wyzwolony spod okupacji.

Artur Kłus: Za chwilkę do tego byśmy przeszli, jakby jeszcze pan opowiedział w ogóle, na tyle, na ile pan ma wiedzę o działalności takiej konspiracyjnej ojca i matki.

Bohdan Sobczyk: Ojciec miał pseudonim „Brynica" i to szczegółów dużo nie znam, a matka miała pseudonim „Irena". To się też dopiero po wojnie dowiedziałem, że matka była też w Armii Krajowej, bo to nawet przed dziećmi była duża tajemnica, nie wolno było nic mówić, bo od dziecka było łatwo wyciągnąć, groźbą, biciem, czymkolwiek, można było różne wiadomości powyciągać.

Artur Kłus: Ojciec był szefem 6. oddziału Sztabu Okręgowego Związku Walki Zbrojnej AK.

Bohdan Sobczyk: To było na początku, a później był w AK i już nie pamiętam, tam chyba napisałem, już nie pamiętam w tej chwili, w którym to było. Myśmy stanowili taką właśnie, ojciec miał działalność taką jednocześnie i kurierską, bo wiem, że moja siostra znalazła, nawet tam jakiś misiu, pieczątkę Poczty Polskiej, no szkoda, że to zaginęło.

Artur Kłus: W zabawce.

Bohdan Sobczyk: W zabawce, tak, ponieważ ojciec często jeździł i do Wiednia, jeździł i do Niemiec w sprawie tych części różnych tramwajów, także tam się kontaktował z wieloma ludźmi i przekazywał różne rzeczy. Były dwa lata, dwa lata od 1939 do 1941 roku, gdzie były dwie granice, jedna była ze strony Rzeszy, a druga ze strony Guberni. Były wielkie braki żywnościowe na terenie Zagłębia, to tam się jadło pęczak, lebiodę, tego typu rzeczy, buraki, znaczy nie buraki, brukiew przede wszystkim. To było podstawowe żywienie, jakieś kasze. Był bardzo wielki głód wtedy i rzeczywiście było trudno.

Artur Kłus: I na wsi też? Byliście na wsi podczas wojny?

Bohdan Sobczyk: Nie, bo podczas wojny żeśmy też byli na wsi, to tam też było biednie, dlatego że wieś miała olbrzymie kontyngenty, właściwie praktycznie dla życia, dla ludzi brakowało wszystkiego, zwłaszcza wieś była uboga przed wojną, wieś na przednówku zawsze głodowała, a jeszcze jak przyszły te obowiązkowe dostawy dla Niemców, to było bardzo źle.

Artur Kłus: Wspominał pan później, że już ten 27 stycznia.

Bohdan Sobczyk: Tak, to było wyzwolenie i tam mieliśmy nadzieję, że obóz został wyzwolony, ale dowiedzieliśmy się, że tych ostatnich więźniów w przeddzień skutych łańcuchami wywieziono w kierunku, czy poszli pieszo w kierunku Oświęcimia i od tej pory ślad zaginął. Moja matka szukała przez Czerwony Krzyż po całej Europie, wszędzie, na wszystkie strony, bo się nie mogła pogodzić ze śmiercią ojca i do tego czasu nawet rozprawa sądowa, która była w Sosnowcu, odbyła się dużo później, dlatego że matka nie chciała uznania za zmarłego ojca, bo myślała, że ciągle jeszcze żyje. Tak że wtedy były trudne warunki, także wyprzedawaliśmy się ze wszystkiego, co tylko możliwe, najpierw poszedł fortepian, później inne meble, później jeszcze coś innego. No a potem wreszcie moja matka zaczęła pracować w księgowości, w tramwajach, już było troszkę lepiej, ale też było bardzo ciężko.

Artur Kłus: A jak pan wspomina przyjście nowego okupanta?

Bohdan Sobczyk: Co nowego?

Artur Kłus: Okupanta, czyli przyjście Rosjan.

Bohdan Sobczyk: Rosjan, na początku to było bardzo wesoło, bo ja miałem wtedy 14 lat, 15 lat, aha jeszcze może jedną rzecz wspomnę tylko, bo w wieku 14 lat był obowiązek pracy, także zmartwieniem moich rodziców było to, że jak ja skończę 14 lat, że mogą mnie wywieźć do Niemiec, ale ponieważ front się zbliżał, jak skończyłem te 14 lat, to Arbeitsamt mnie zaraz zarejestrował i dostałem od razu pracę. A praca moja polegała na tym, że razem z dosyć dużą grupą ludzi, to było kilkaset osób zaangażowanych w tym kierunku, mieliśmy wykonywać umocnienia obronne w Zagłębiu Dąbrowskim, czyli jechaliśmy w okolice Ząbkowic do lasów i tam się kopało wielkie rowy, tam się ścinało drzewo, robiło różnego typu zapory, zasieki i tak dalej. I ja byłem tam przydzielony, dostałem zadanie, byłem drwalem, dostałem siekierę i codziennie musiałem ileś tam drzew tych ściąć i obciąć gałęzi, pracowałem praktycznie pół roku jako drwal.

Artur Kłus: W wieku 14 lat?

Bohdan Sobczyk: Od 14 lat, tak. Ale co było w momencie, kiedy skończyła się wojna? Po pierwsze była wielka euforia, po drugie było szukanie rodzin, bo to było wielu znajomych, była nasza znajoma, lekarz dentystka, pani Barańska, której mąż był w Rosji. Zresztą on uchował się, przeżył i powrócił. Druga żona doktora Hanasza, jej ojciec w Katyniu zginął, też nie wiedziała do tego czasu, tak że to były takie wzajemne ogólne poszukiwania. Ale na ogół to był bardzo duży entuzjazm, dlatego że odzyskaliśmy wolność, zaczynała się olbrzymia inicjatywa społeczna przy odbudowie, przy wszystkim rozpoczęła się nauka w szkole, bo w czasie wojny tylko chodziłem na takie tajne kursy, więc to wiadomo jaka to była nauka, to była nauka bardzo ograniczona. A po wojnie już się zaczęło, tak że poszedłem do drugiej gimnazjalnej od razu po zakończeniu wojny. Do 1949 roku to się tak wszystko dosyć dobrze układało, ale zaczęły się protesty, zaczęły się, wiadomo co to było. Po pierwsze był szalony terror, jeżeli chodzi o ludzi, którzy byli związani z Armią Krajową. Więc pierwsza rzecz, która była dla nas takim dużym ciosem, to było to, że ludzie, których znaliśmy, którzy należeli do Armii Krajowej, byli aresztowani. Czyli walczyli z Niemcami, przyszła polska władza i ich aresztowała. Potem się zaczął ten okres stalinowski, a nawet też na swojej skórze mocno to odczułem, dlatego że starałem się, chciałem pójść na politechnikę. W 1949 roku zdałem egzaminy na politechnikę, ale nie zostałem przyjęty. Okazało się dlatego, że mój ojciec należał do Armii Krajowej. Byłem oczywiście na czarnej liście i na politechnikę nie mogłem się dostać. Było takich nas wielu, ale całe szczęście, że tak, przyjaciele mojego ojca, profesor Nehrebecki, profesor Ficki, jeszcze tam kilku innych, zostali wykładowcami Politechniki Gliwickiej. Poza tym rektor, , dziekani byli ludźmi, którzy też byli związani bardziej ze starym systemem niż z tym, który chciano do nas wprowadzić. Nas było takich kilkunastu nieprzyjętych właśnie z takich powodów politycznych, więc mnie powiedział profesor Nehrebecki tak, przekazał wiadomość od dziekana, że mam chodzić na wszystkie wykłady. Oczywiście nie miałem prawa zdawać egzaminów, wtedy były jeszcze płatne egzaminy, rejestrowane egzaminy, ale miałem się uczyć i miałem przyswajać sobie tę wiedzę. Okazało się, że nas było tam kilkunastu, studia się zaczęły we wrześniu i później od miesiąca stycznia następnego roku, tak pojedynczo nas wpisywano na te listy studentów i wtedy mogłem zostać normalnym studentem. Oczywiście bez prawa do jakiegoś stypendium, bez prawa do niczego, a były trudne warunki i też przyjaciele rodziny pomogli. Złożyli się i przez całe moje studia pomagali finansowo, żebym ja mógł ukończyć studia.

Artur Kłus: A jak jeszcze...

Bohdan Sobczyk: Zresztą jeden z nich to właśnie ten inżynier Bolesław Witwiński po powstaniu warszawskim, bo jego córka była również po powstaniu warszawskim. Ich mieszkanie tutaj na Żoliborzu zostało zburzone, zniszczone, bo na tym oficerskim mieszkali i w tym okresie właśnie zaraz po wojnie nie mieli co z sobą zrobić, przyjechali do Sosnowca i u nas mieszkali. U nas mieszkali przez prawie osiem miesięcy, ich córki chodziły do szkoły w Sosnowcu i dopiero wtedy, jak już jakieś warunki bytowe uzyskali tutaj w Warszawie, powrócili z powrotem do Warszawy.

Artur Kłus: Jeszcze się dopytam o ten okres kilka lat wcześniej, bo wspominał pan w swoich wspomnieniach, że jak przyszli Rosjanie to czasami u was w mieszkaniu też kwaterowali się, mieszkali i też z okien mieszkania było widać, jak ci żołnierze postępują z ludnością cywilną.

Bohdan Sobczyk: No, nie, ja bym powiedział w ten sposób, bo był duży garnizon rosyjski, trzeba było tych ludzi gdzieś rozkwaterować. Ponieważ mieliśmy duże mieszkanie, to musieliśmy oddać dwa pokoje na kwaterę. I to różni ludzie mieszkali. Była cała drużyna, pierwsza rzecz, którą zrobili, to wbili 12 gwoździ, takich wielkich, ale tak było bardzo sympatycznie. Poza tym, że po ich wyjściu od razu z serwantki zginął zegarek czy coś innego, ale to były normalne rzeczy. Przy kolacji żeśmy rozmawiali, oni uczyli mnie strzelać, pokazali dziurę w suficie, żeśmy wybili wtedy, ale takie to były czasy. Później była taka kobieta u nas, oficer, która panicznie się bała, jeżeli były syreny alarmowe, jeżeli było cokolwiek, było słychać co się dzieje, to ona uciekała, chowała się pod biurkiem, to był taki paniczny, zwierzęcy strach. A potem był, przez dłuższy okres czasu u nas mieszkał oficer rosyjski, ale to już był człowiek inteligentny, który chyba miał ukończone studia matematyczne, pomagał mojej siostrze w nauce w języku matematycznym, z matematyki przy zadaniach matematycznych, poza tym starał się przynosić jakieś konserwy, coś pomagać, także jeżeli chodzi o ludzi, to byli bardzo sympatyczni. Oczywiście, jeżeli chodzi o zewnętrzne życie, to zdarzało się bardzo dużo napadów, gwałtów i tak dalej, to wiadomo, to był okres powojenny. My żeśmy też tak żyli, całe wysypiska amunicji były, więc ja się zajmowałem również rozbrajaniem granatów Stokersa, różnych bomb, wszystkiego, doszedłem do wielkiej wprawy.

Artur Kłus: Wspominał pan też, że właściwie w szkole, młodzież przynosiła jakąś...

Bohdan Sobczyk: W szkole, tak, oczywiście, mieliśmy wszystko, mój kolega sobie przestrzelił tutaj spodnie nawet, bo miał taki bębenkowiec i tak sobie przerzucał, i tam akurat nabój był, a w czasie lekcji.

Artur Kłus: Po tej wojnie był dość łatwy dostęp do broni.

Bohdan Sobczyk: Zupełnie, do broni można było mieć ile kto chciał wszystkiego, pełno było tego, pełno było. No, ale to też tak.

Artur Kłus: Rozumiem, że kończy pan studia.

Bohdan Sobczyk: Tak.

Artur Kłus: Co się dzieje dalej w pana życiu?

Bohdan Sobczyk: Co się dzieje z moim życiem dalej? No, po pierwsze, ożeniłem się.
Irena Mazgay-Sobczyk: Nie, najpierw żeś pracował w Energopomiar.

Bohdan Sobczyk: No tak, to jeszcze troszkę wcześniej zacząłem pracować w Energopomiarze. No to taka firma, która zajmowała się pomiarami w elektrowniach i stacjach rozdzielczych. No więc ja tam byłem specjalistą do spraw zabezpieczeń energetycznych, więc musiałem na wszystkie uruchomienia generatoru, pomiary nadal w stacjach wysokiego napięcia, musiałem jeździć po całej Polsce, normalnie jeździłem. Dlatego tak często jeździłem do Łodzi i tam spotykałem się z moim wujostwem, Jadzią i Henrykiem Śmigaczami. I później w 1955 roku żeśmy zawarli z małżonką ślub, związek małżeński, mieliśmy ślub. Ale ciekawostka też taka, bo my żeśmy się z moją żoną znali od trzeciego roku życia. To była taka znajomość z piaskownicy. No potem żeśmy się, ponieważ okres wojny był traumatyczny, spotykaliśmy się jeszcze w czasie wojny. I później po wojnie moja matka była w takim stanie, że praktycznie zerwała wszystkie kontakty na najbliższe kilka lat. Nie widzieliśmy się kilka lat, a potem żeśmy się zobaczyli i jakoś tak zaiskrzyło. I tak żeśmy... Zostajemy do dzisiaj jeszcze 67 lat chyba, w tym roku będzie 67 lat od naszego ślubu.
Irena Mazgay-Sobczyk: Powiedz, że byłam na twoim chrzcie.

Bohdan Sobczyk: Moja małżonka była na moim chrzcie, tak, dlatego że moi rodzice nie mogli się porozumieć na temat mojego imienia. Do roku, dziesiątego roku życia byłem nazywany Wojtkiem. Cały czas tak, Wojtkiem mnie nazywano w domu. I potem ja sobie sam wybrałem imię i w czasie wojny, w 1942 roku byłem ochrzczony. Ochrzczony dopiero wtedy i wtedy moja małżonka była, była, ale jeszcze nie była małżonką. Była koleżanką, tak. Była na moim ślubie.
Irena Mazgay-Sobczyk: Na chrzcie.

Bohdan Sobczyk: Tak, na moim chrzcie.

Artur Kłus: Chciałbym, żeby pan krótko podsumował to, co się działo jeszcze.

Bohdan Sobczyk: Później, tak? Później, tak, później w roku 1940 w 1956 roku urodziła nam się córka. W 1957 roku urodziła się druga córka. I ponieważ mieliśmy kłopoty z dziećmi, dlatego, że obie miały zrodzone zwichnięcia stawu biodrowego, to doktor Tabeński, który był, u którego żona pracowała, bo żona robiła specjalizację chirurgii dziecięcej, powiedział, że trzeba by było zmienić klimat, bo na Śląsku życie było bardzo trudne, był wielki smog i były złe perspektywy. No więc żona jest po skończeniu specjalizacji jeszcze później okulistycznej. Przenieśliśmy się do Ostrołęki, ponieważ tam robiłem pomiary w elektrowni, tam poszło, wybudowano dużą fabrykę celulozy papieru, to znalazłem tam pracę i przenieśliśmy się do Ostrołęki. To też tak na wariackich papierach, tak nie wiadomo, bo mieliśmy wszystko, mieliśmy pracę, mieliśmy mieszkanie w Gliwicach, żyliśmy w dużym ośrodku, mieliśmy tam wszystkich przyjaciół i przenieśliśmy się nagle w taki zacofany, kompletnie zacofany zakątek do Ostrołęki. To miasteczko miało wtedy chyba 15 tysięcy ludności, jeszcze pożydowskie miasteczko, jeszcze takie zaniedbane, strasznie zaniedbane i zacofane też.

Joanna Dardzińska: Na jak długo się państwo tam przenieśliście?

Bohdan Sobczyk: Tam żeśmy się przenieśli w 1957, 1959 roku, żeśmy się przenieśli, tam zacząłem pracować w fabryce celulozy papieru, tam doszedłem do stanowiska głównego energetyka, tam pracowałem do 1968 roku, później zostałem dyrektorem elektrowni w Ostrołęce, elektrociepłowni, a później dyrektorem zespołu elektrowni w Ostrołęce, później... I też ciekawa historia, może to w tej chwili uważa się to koniunkturalnie, ale zderzenie, różnica między tak głęboką prowincją a ośrodkami, tymi bardziej cywilizowanymi, że tak powiem, była olbrzymia, to była przepaść, więc jeżeli chodzi o okres, właśnie jeszcze ten okres stalinowski, i ten bezpośrednio po okresie stalinowskim, to tam wszyscy wszystkich znali i tam były bardzo trudne warunki dla ludzi, którzy byli, że tak powiem, poza systemem. I myśmy się tak z kilku inżynierów, po 1956 roku jak była odwilż, tośmy się tak spotkali i myśleliśmy co robić dalej, dlatego że tak, mamy tutaj takiego a takiego, który nie ma żadnej wiedzy na żaden temat, ale on szefuje wszystkim, on decyduje i tak dalej, to trzeba jakoś zmienić. I żeśmy się wtedy zapisali do partii, mimo że ja byłem, że tak powiem, mnie odrzucało z uwagi na te wszystkie swoje przeżycia. I tam zostałem dyrektorem w elektrowni, no i potem w zapisach tych partyjnych zawsze miano do mnie jakiś taki uraz i tam widać było, że ja nie jestem osobą zaufaną. I wreszcie, bo było wiele takich rzeczy, których powiedzmy ja tam nie popierałem, nie zgadzałem się, żadnych funkcji partyjnych nie chciałem mieć, niczego nie chciałem mieć. I wreszcie mnie odwołano z tego stanowiska. I najciekawsza rzecz to jest taka, bo to też ciekawe, bo to okres 1976. Jaką ja miałem tam opinię, to mogłem się dowiedzieć z takiego zdarzenia. Wysłał mnie sekretarz Komitetu Wojewódzkiego, bo Ostrołęka została w województwie i przyszedł tam z Warszawy, sekretarz Komitetu Wojewódzkiego, Smyczyński. I jak mnie odwoływali z tej elektrowni, to mnie ten Smyczyński wezwał do siebie i mówił tak: „Chłopie, czego Ty się przejmujesz? Odwołują cię stamtąd? Przecież tam byś się do końca, zapracował do końca życia, by cię zamęczyli, przecież to jest robota nieskończona, to nie ma najmniejszego sensu. A zresztą wiesz co, nie ma z nimi co walczyć, przecież to wszystko są Ukraińcy, którzy chcą zniszczyć kraj. Począwszy od Jaroszewicza i tak dalej", on mi w 1976 roku o tym wprost powiedział. I mówi tak, ja mam dla ciebie takie zadanie, ponieważ musimy zorganizować tutaj wojewódzkie przedsiębiorstwo energetyki cieplnej, to ty mi to zrobisz. I ja tam zorganizowałem to województwo energetyki cieplnej. No a później jak już nastała Solidarność, to rzuciłem to wszystko, wyjechałem, bo żona wcześniej wyjechała do Afryki na kontrakt i pojechałem do Afryki również na ten kontrakt.

Artur Kłus: Jakbyśmy mogli teraz szerzej troszeczkę jeszcze porozmawiać o pana rodzinie. I tutaj przede wszystkim bym zapytał właśnie o Henryka Śmigacza. Jakby Pan opowiedział, jakie to są relacje rodzinne i wspomnienia związane z tą osobą.

Bohdan Sobczyk: Z Henrykiem Śmigaczem mieliśmy bardzo duże kontakty, dobre kontakty, bo jego żona, Jadzia Śmigaczowa, była kuzynką mojej mamy. Ale ja ich traktowałem, ja nawet uważałem przez pewien okres czasu, że on był kuzynem mojej mamy, dlatego że ja nie jestem dobry w tych koligacjach a on był bardziej rodzinny. Bardziej rodzinny, bardziej się interesował tymi wszystkimi sprawami niż Jadzia. Mieliśmy... Więc po wojnie, aha, bo jeszcze miałem taki epizod, bo jak skończyłem gimnazjum, małą maturę w Sosnowcu, w gimnazjum Staszyca, to matka doszła do wniosku, że ja muszę mieć jakiś zawód, bo nie wiadomo co może być, więc dostałem się do takiego liceum energetycznego w Nysie. I tam przez dwa lata byłem. Więc z tego okresu ze Śmigaczami, nie pamiętam, wiem, że przyjeżdżał do mojej matki do Sosnowca wielokrotnie. Ale potem jak żeśmy dostali mieszkanie w Gliwicach, to przyjeżdżał do nas do Gliwic.

Joanna Dardzińska: A w jakim celu on tam jeździł?

Bohdan Sobczyk: Tego ja nie wiem, nigdy go nie pytałem w jakim celu. Do nas przyjeżdżał, ale tak, no jakie, nie wiem, bo on miał związki z artystami. Zawsze do nas przyjeżdżał, jak wieczorem przyjeżdżał, to przychodził już po kolacji. Najpierw przychodził, szedł do hotelu, zjadał dobrą kolację, co było takie najpierw, zawsze żądał sobie, że proszę mi przynieść setkę, ale jak kelner przychodził, miał mu przynieść tę setkę, to on mówił: „Niech pan przyniesie od razu dwie setki, po co pan będzie dwa razy chodził". I po takiej kolacji przyjeżdżał do nas. A nie wiem, kogo on tam miał. On miał duże kontakty z artystami. Tam się rodziła operetka gliwicka, tam również choreografią zajmował się Parnell, z którym on miał związki, to też w operetce gliwickiej. Żałuję, że zgubiłem, inaczej, zginęła mi gdzieś, bo miałem bardzo ładną taką fotografię, podaną przez Henia Śmigacza, bośmy byli zawsze po imieniu. Przez Henia Śmigacza. To była fotografia takiej wschodzącej gwiazdy operetki Wandy Polańskiej. Wanda Polańska. I tam była taka adnotacja na końcu, po drugiej stronie tego zdjęcia, że polecam swoją rodzinę. Bo myśmy często z żoną chodzili do operetki, bo tam mój kolega był też dyrygentem w tej operetce.

Artur Kłus: Jeżeli chodzi o te odwiedziny, o których pan wspomina, to jaki to był okres? Jakie to były lata?

Bohdan Sobczyk: To były lata 1957-59.

Joanna Dardzińska: A czy Henryk Śmigacz wspominał czasami w takich prywatnych rozmowach do swojego życia w Warszawie, do czasu okupacji, czym się zajmował?

Bohdan Sobczyk: Było dla nas znane. Nie wiedzieliśmy oczywiście, że pracował dla AK, bo to było zawsze chowane dla bezpieczeństwa. Nie mówiło się o tym, ale byliśmy tutaj wielokrotnie w Warszawie, bo zresztą, ponieważ ojciec mnie zabierał często do Warszawy, to ja Warszawę znam. I sprzed wojny bardzo dobrze i pamiętam cały układ ulic jeszcze tutaj, jak się tramwajem jeździło na Żoliborz, bo były kręte tam drogi jeszcze przez tę dzielnicę. I potem w 1939 roku oglądałem zburzenia Warszawy, później byłem w 1942, w 1944 roku, na tydzień przed powstaniem warszawskim i byłem właśnie u mojego ojca chrzestnego, ale to nie byliśmy tutaj u Śmigacza, tylko byłem na Żoliborzu u mojego ojca chrzestnego i tydzień przed tym żeśmy dopiero wyjechali. Ale tak, to zajmował się fotografią. Bo przed wojną był fotoreporterem, a później się zajmował fotografią i cały czas miał. Później wiem, że pracował również dla Armii Krajowej, że dokumentował zniszczenia warszawskie.

Joanna Dardzińska: A czy panu coś wiadomo na temat jego przeniesienia się ze Starówki do Śródmieścia na Złotą? Bo on mieszkał wcześniej, urodził się i wychował na Starym Mieście, prawda? Kiedy on w ogóle ten swój zakład nastąpił?

Bohdan Sobczyk: Ja dokładnie nie wiem, bo wiem, że moja babcia jeszcze mieszkała gdzieś na ulicy Dowcip, na ulicy Dowcip w Warszawie, tu obok Mazowieckiej zaraz jest taka malutka uliczka. Ale jak on się przeniósł, nie wiem, nie wiem, na ten temat żeśmy właśnie za mało rozmawiali i tych szczegółów.
IRENA MAZGAY-SOBCZYK: Jedna rzecz, Warszawiak, Henio i nagle uciekał z Warszawy i jedyny syn urodził mu

się w Grójcu. I dla niego, Warszawiak z Grójca to był przecież, to jest despekt taki, że ile Henio miał kłopotów, żeby przepisać akt urodzenia, że się Henio urodził mały w Warszawie. Ale on miał, to była tragedia rodzinna. Ja pamiętam, że on włosy z głowy rwał. Jak to, mnie się urodził syn w Grójcu.

Joanna Dardzińska: Tęsknił za Warszawą, w jakiś sposób wspominał tę Warszawę?
Irena Mazgay-Sobczyk: Oj tak, Warszawa to było jego miasto. On do końca, mimo że mieszkał w Łodzi, to on się czuł Warszawiakiem. On był Warszawiakiem.

Bohdan Sobczyk: A zresztą duże towarzystwo miał tam, dlatego że całe życie kulturalne z Warszawy się przeniosło do Łodzi.

Artur Kłus: A wspominał powstanie warszawskie?

Bohdan Sobczyk: Słucham?

Artur Kłus: Czy powstanie warszawskie wspominał?
Bohdan Sobczyk: Powstanie warszawskie, nie, nie wspominał. Na te tematy żeśmy nie rozmawiali. Jakoś to były takie osobiste i prywatne rzeczy, na ogół żeśmy o tych...

Joanna Dardzińska: A czy może pan powiedzieć coś na temat wyglądu tego jego atelier w Łodzi? Tego pierwszego, a potem tego drugiego? Jak było zorganizowane? Czy to było w mieszkaniu? Jakaś część wydzielona? Skąd pochodziły dekoracje?
Bohdan Sobczyk: Tak, tak, to część była mieszkalna, a potem było studio duże takie, bo była antresola i był taki dół. Także tam było bardzo duże to studio, dokładnie wyciszone, przygotowane, z odpowiednim oświetleniem, z odpowiednimi ekranami, bo to rzucanie tego światła to było rzeczą taką najbardziej istotną w fotografii. Zresztą piękne zdjęcia robił. Jeździłem z nim tak samo do teatru w Łodzi. Byłem na dwóch czy trzech takich sesjach zdjęciowych, gdzieśmy robili przed przedstawieniem teatralnym, robiliśmy zdjęcia tam. Znaczy on robił zdjęcia, ja się przyglądałem. A przy pracy był szalenie sprawny i szalenie dowcipny, wiele anegdot, wiele wszystkiego. Był kapitalnym człowiekiem, jeżeli chodzi, towarzysko. Zresztą aktorki mu się zwierzały, bardzo mu się zwierzały tam wielokrotnie. Także pamiętam, no nie wiem czy to mówić, ale to chyba chodziło o Janowską, ale to lepiej nie wspominać. On mówi tak, bo przyszła do mnie i tak mówi, że rozmawiali na temat kariery, jak ciężko zrobić karierę. A ona mówi do niego tak: „Chociażby miała dupa w strzępy pójść, to karierę zrobię. A Henio później mówi tak: „Ja taką osobę to szanuję, ja ją rozumiem. Ona wie do czego dąży". To był cały Henio.

Joanna Dardzińska: On miał sam zainteresowania teatralne, czy czasami brał udział też w tych sztukach?
Bohdan Sobczyk: Nie, nie brał udziału, nie, nie brał udziału. Więc jaka różnica była w tym okresie czasu? Bo po roku 1956 nastąpiło pewne rozluźnienie w całej Polsce, dosyć duże rozluźnienie. Natomiast na prowincji dalej był beton i były rządy pierwszego sekretarza. To były pierwsze rzeczy, że Urząd Bezpieczeństwa i pierwszy sekretarz rządził. Także tam nie było możliwości żadnego działania, żadnego wybicia się, czegokolwiek, bez jakiegoś takiego gestu

w ich stronę. Na przykład w Warszawie. W Warszawie miałem wielu kolegów, którzy byli bezpartyjnymi, którzy mogli pracować, którzy mogli wykonywać jakieś swoje zadania na kierowniczych stanowiskach. Tam nie, absolutnie nie. To był jednoznaczny wymóg. Zresztą ciekawe jak różni ludzie byli, jak przejmowałem obowiązki od poprzedniego dyrektora elektrowni, elektrociepłowni. To był człowiek bardzo wysoko postawiony, Taratyka się nazywał, Mieczysław Taratyka. Bardzo wysoko postawiony w tych układach partyjnych. Nie wiem czy, on do Komitetu Centralnego należał, czy miał mieszkanie na Wiejskiej. On zachorował, i on mnie wytypował, i on chciał, żebym ja był tym dyrektorem, dlatego to była jego inicjatywa. On zachorował na stwardzenie rozsiane i już jak był bardzo chory, jak już ledwo mógł mówić i ja miałem zająć jego miejsce, to poprosił mnie listownie, żebym do niego przyjechał. Ja przyjechałem do niego na tą Wiejską, spotkałem się z nim i on mi opowiadał szczegóły o elektrowni i szczegóły o ludziach, którzy tam mieszkają. I właśnie ciekawy człowiek, bo jako tak wysoko postawiony partyjniak, on mi powiedział tak: „Ja ci podam wszystkich ludzi, którzy pracują w Urzędzie Bezpieczeństwa i którzy tam ryją w tej elektrowni", bo każdy zakład pracy tam był obstawiony przez takich. I podał mi, takich sześć nazwisk tam było. Zresztą ja z tego skorzystałem później, bo jak już miałem taką wiedzę, posiadłem, to w ciągu dwóch lat z różnych innych przyczyn, ale tych ludzi się wszystkich pozbyłem. Absolutnie. Na pewno przyszli inni w to miejsce, bo to przyroda nie lubi próżni. To jest Lucjan Broniarek, kuzyn mojej matki, który należał do Komunistycznej Partii Polski, przed wojną oczywiście. Był bardzo lewicowym członkiem tej partii, ale to był lewicowiec z przekonań, nie dlatego, żeby zrobić jakąś karierę, tylko on tak rozumiał świat, jak wtedy rozumieli komuniści. On był komunistą, autentycznym komunistą. I on... Brał udział.... I później w roku 1936, jak były rozgrywki między Stalinem, a on wykańczał polskich komunistów, to wzywał pojedynczo, wzywali grupowo i pojedynczo do Rosji na jakieś takie czy inne rozmowy. I on został też tam wezwany, no i ślad po nim zaginął. Rodzina nic nie wiedziała, aż do roku 1956. Dopiero wtedy się znalazło, że on był skazany na karę śmierci. On był w Gułagu, tam ożenił się z Rosjanką, która była w jakiejś tam administracji, chyba tego Gułagu, wyciągnęła go stamtąd gdzieś tam daleko, daleko poza Moskwą żył. Tam miał z nią syna. I w 1956 roku, jak nastąpiła odwilż, on zachorował, dostał się do szpitala, zresztą tam był pod innym nazwiskiem, bo nie mógł być pod swoim nazwiskiem. Dostał się do szpitala i tam był jakiś człowiek, który z Polski, nie wiem z jakich kręgów tych ludzi, czy z dyplomacji, czy tak, ale w każdym razie, który miał polską gazetę i w tej polskiej gazecie było podane, że Wicha został ministrem spraw wewnętrznych w Polsce. I ten Lucjan właśnie mówi do tego człowieka: Powiedz mu, jeżeli wróci i czy jedzie do Polski, tak będzie wracał do Polski, to żeby się koniecznie dostał do Wichy i powiadomił go, czy przez kogoś powiadomił Wichę, że Lucjan Broniarek jest tu i tu. I wreszcie drogami dyplomatycznymi wyciągnięto go stamtąd i wrócił tutaj do Polski.

Artur Kłus: Oni się znali, rozumiem, tak?
Bohdan Sobczyk: Tak, oni byli z tej samej grupy Komunistycznej Partii Polski, z Broniarkiem, oni razem pracowali.
Joanna Dardzińska: I czym się potem Broniarek zajmował?

Bohdan Sobczyk: On został w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych dyrektorem departamentu chyba do spraw paszportowych.

Joanna Dardzińska: A czy panu coś wiadomo na temat wykształcenia?
Bohdan Sobczyk: Na temat wykształcenia? On chyba miał ekonomiczne wykształcenie, ale szczegółów nie znam.